

ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 163.

№ 1. | Warszawa, 1 stycznia 1906 r. | Rok VIII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.



Polowanie na łosie.

Wszystkim naszym kolegom-myśliwym, czytelnikom, współpracownikom i przyjaciołom „Łowca Polskiego" przesyłamy noworoczne życzenia najpomyślniejszej przyszłości. Szczęść Wam Boże!

Redakcya.

UBYWANIE ZWIERZYNY W ROSYI.

Niemcy, którzy zajmują się obecnie pilnie sprawami rosyjskiemi, poruszają także w pismach myśliwskich kwestyę ubywania zwierzyny w Rosyi. W guberniach wewnętrznych Rosyi, dokąd nieraz Niemcy udają się na polowanie, rozlegają się obecnie, podług nich, skargi na zmniejszenie się i wytępienie zwierzyny. Sprawa ta zwróciła już podobno na siebie także uwagę fachowych pism rosyjskich.

Powszechnie twierdzą, że tam, gdzie przed dwudziestu laty było jeszcze mnóstwo zwierząt drapieżnych, niedźwiedzi, wilków i rysiów, stanowią one teraz rzadki wyjątek; w miejscowościach, w których przed kilku laty jeszcze masami spotykało się cietrzewie, kuropatwy i przepiórki, ptactwo błotne i wodne, słonki i stepówki, jest ich obecnie coraz mniej, a głuszce miejscami zupełnie zostały wytępione. W niektórych rewirach gubernii smoleńskiej naprzykład, spotykano podczas dziewiątego dziesięciolecia wieku ubiegłego, stada cietrzewi, liczące około trzystu sztuk; na tokowiskach znajdywano czasami razem ze sto pięćdziesiąt kogutów, a moskiewski, hurtowny kupiec zwierzyny mógł j e d n e g o d n i a, posługując się, między innemi, ustawianiem bałwanów (lalek cietrzewianych), ubić 37 kogutów cietrzewi. Obecnie zaś trzebaby wszystkie liczby powyższe dzielić przez dwadzieścia, żeby otrzymać stosunek właściwy.

Jaka jest przyczyna takiego upadku? Co wywołuje to ubywanie? Myśliwi rosyjscy zastanawiają się już nad tą sprawą, szukają na nią odpowiedzi i dają liczne rady na przyszłość.

Posłuchajmy najprzód, co oni mówią, aczkolwiek trzeba przyznać, że nawet temu, który nie jest obeznany ze stosunkami rosyjskiemi, niektóre rady wydać się muszą niewykonalnemi. Jako p r z y c z y n y u b y w a n i a zwierzostanu podają zatem:

1) zmniejszanie się obszarów leśnych i osuszanie bagien;

2) zbyt łagodne prawa myśliwskie;

3) n i e d o s t a t e c z n y n a d z ó r i n i e d b a ł e s t o s o w a n i e prawa;

4) kłusownictwo, zbytnio rozpanoszone;

5) nadmierną liczbę myśliwych (przeważnie „niedzielnych);

6) przewagę drapieżników nad użyteczną zwierzyną; oraz mnóstwo dzikich psów i kotów;

7) m a s o w e t ę p i e n i e p t a k ó w w ę d r o w n y c h na wiosnę i w jesieni na w y b r z e ż u m o r z a C z a r n e g o;

8) z a b i e r a n i e j a j i n i s z c z e n i e g n i a z d p r z e z w i e ś n i a k ó w;

9) możliwość sprzedawania przez rok okrągły, zwierzyny, ponieważ ona zjawia się na jadłospisach restauracyjnych nawet w czasie ochrony.

Jako specyalnie rosyjskie przyczyny wymieniają:

10) n i z k i s t a n k u l t u r a l n y l u d u, j e g o n i e d o r o z w ó j u m y s ł o w y, a s t ą d j e g o s u r o w o ś ć;

11) n i e z d o l n o ś ć w ł a ś c i w e g o k o r z y s t a n i a z b o g a c t w p r z y r o d y o r a z i c h p i e l ę g n o w a n i a;

12) n i e d b a l s t w o i b r a k t r o s k l i w o ś c i o u t r z y m a n i e m a j ą t k u n a r o d o w e g o.

„Prawdziwy rosyanin" myśli zazwyczaj w ten sposób: „*Na moj wjek chwatit, potom czto Bog dast!*" (Na moje życie starczy, po tem co Bóg da!)

Przytoczyliśmy powyżej cały tuzin przyczyn ubywania zwierzyny. Punkty, które uważać można za istotne i główne przyczyny ubytku, wydrukowaliśmy literami rozstawionemi. Niektóre z punktów powyższych są z tego powodu niewłaściwie wymienione, że już same wynikają z innych. Tak np. niedostateczny nadzór i niedbałe stosowanie prawa myśliwskiego prowadzą do tego, że kłusownicy uprawiają z powo-

POLOWANIA W TYROLU.

przez

J. JAQUET'A.

(Z francuskiego).

Figiel z lejkiem.

Odwrotną stroną medalu w polowaniach górskich jest niepogoda. Nic mam tu bynajmniej na myśli tych burz, które wybuchają z gwałtownością, trwają kilka godzin i zwykle powodują odświeżenie powietrza podczas upalnych dni letnich. Mówiąc: niepogoda, mam na myśli te dni, kiedy deszcz pada bez ustanku od rana do wieczora. Jeśli znajdujemy się w dolinie, można jeszcze wytrzymać: wprawdzie widzimy tylko same podnóża gór, których szczyty kryją się w chmurach; o polowaniu niema oczywiście mowy, ale jesteśmy przynajmniej możliwie wygodnie zainstalowani. Lecz gdy się znajdujemy wysoko, w chacie, położenie jest mniej przyjemne. Mgła otacza nas gęstą oponą, nic widać nic na dziesięć kroków, deszcze rozmoczyły grunt wokoło chaty tak, że niepodobna wyjść na zewnątrz z powodu błota. Mała chałupina, wystarczająca jako tako w czasie pogody, staje się nieznośną, gdy myśliwi i gajowi, skupieni w niewielkiej izbie, spędzają dni kilka bez możności wytknięcia nosa na zewnątrz, a dym kilkunastu fajek tworzy wewnątrz mgłę równie gęstą, jak ta na dworzu. Jakże się one dłużą te dni... Nie można przecież ciągle spać lub ciągle palić, a partya wista, zorganizowana na końcu stołu, staje się po pewnym czasie męczącą. Dwadzieścia razy na dzień idziemy zasztukać w barometr, lecz strzałka jego ani myśli iść w górę. Myśl powrotu do doliny upada, bo jutro przecież może się nareszcie wypogodzi, a wtedy dzień byłby stracony, bo przy błotnistych drogach trzeba przynajmniej pięciu godzin, aby w góry powrócić. Zostajemy więc. Powtórzono już wszystkie znane opowiadania myśliwskie, nawet stary Michał już nie ma nic nowego w swym repertuarze, a deszcz tymczasem pada i pada...

Było to właśnie podczas takiej pogody, w końcu października, kiedy się przytrafiła historya, którą mam zamiar opowiedzieć. Na szczęście opuściliśmy chatę i rozłożyliśmy się kwaterą w małej, górskiej oberży ponad doliną Garnitza, o trzy godziny drogi od najbliższej wsi. Biorąc na uwagę okoliczności, byliśmy tam zainstalowani ze względnemi wygodami. Na pierwszem piętrze mieliśmy pokój sypialny, a w ciągu dnia przesiadywaliśmy na dole w dużej sali, która łączyła się z kuchnią. Sala ta posiadała ściany bielone wapnem, a w swych grubych murach zaledwie

dzeniem swe rzemiosło, a zwierzynę sprzedaje się nawet w czasie trwania ochrony obowiązującej.

Ażeby dźwignąć zwierzostan, polecają pisarze rosyjscy następujące środki zaradcze:

1) wprowadzenie podatków od psów i broni;

2) wydawanie surowych praw przeciw kłusownikom i t. p. przestępcom;

3) wyznaczanie nagród za tępienie drapieżników i za wykrycie przestępców łowieckich;

4) członkowie związków myśliwskich powinni surowo uważać na wypełnianie praw myśliwskich, a przedewszystkiem służyć innym za dobry przykład na tym punkcie;

5) należy karać pogardą takiego, który „za dużo" sobie pozwala w sprawach łowieckich;

6) pisma myśliwskie niepowinny dawać obrazów, przedstawiających „obfite" łupy, ażeby nie wywołać w oglądających te obrazy, chęci naśladowania;

7) zabronienie wszelkich polowań wiosennych i otwarcie wszystkich polowań nie wcześniej, jak przed 15 (28) lipca;

8) ustanowienie państwowych dozorców myśliwskich (policyantów łowieckich);

9) prawne ustalenie liczby zwierzyny, którą ubić może myśliwy w przeciągu jednego dnia polowania.

Powyżej również wydrukowaliśmy rozstawionemi literami punkty, które uważać można za najbardziej skuteczne i odpowiadające celowi.

(*C. d. n.*).

WIKTOR STEPHAN.

KUROPATWA.

(*Ciąg dalszy*).

Aby uniknąć możliwego zatuczenia i złych z tego powodu następstw, zalecamy żywić kuropatwy w kuropatwiarniach dwojako:

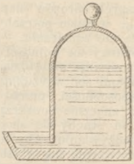
1) przez zadawanie pośladu pszennego w korytku, lub „Dobrobycie";

2) przez stawianie pszenicy, hreczki i prosa w snopach.

Podaną przemianę najlepiej normować na okresy, i tak, jeden tydzień zadawać poślad, a drugi ziarno w snopach.

Ziarno zadawać najlepiej w „Dobrobycie" raz dlatego, żeby się nie niszczyło, a powtóre dlatego, żeby kuropatwy wzajemnie się nie wycinały, czyli nie odżerały, i do żerowiska wszystkie dogodny miały dostęp.

Co do ilości zadawanego żeru można wogóle powiedzieć, że garniec czystego, pszennego pośladu wystarczy dziennie na sto kuropatw. Za zasadę należy



Poidło w przekroju poprzecznym.

przyjąć, żeby poślad w „Dobrobycie" z dnia na dzień nie zostawał.

Obok suchego żeru dobrze jest zadawać kuropatwom coś zielonego, np. oziminę, jarmuż i t. p. Wodę do picia należy codziennie zadawać świeżą, a jeżeli jest obawa, że podczas mrozów w ciągu dnia zamarznie, to zmieniać ją dwa razy, na noc jednak najlepiej zabierać naczynia do domu. Do stawiania wody użyć najlepiej poideł glinianych, w których woda nie tak łatwo zamarza i co ważniejsze—kuropatwy jej zanieczyścić nie mogą.

Jak takie poidło wygląda, uwidocznia najlepiej załączona rycina.

Dla objaśnienia dodaję, że poidło przedstawione, podobne jest do flaszki, t. zw. kamionki, u spodu

---

kilka małych okienek, które w dni pochmurne przepuszczały bardzo mało światła. Czytać było ledwie można. Kilka kolorowych obrazków zdobiło ściany — wszystkie przedstawiające sceny myśliwskie; krucyfix i maleńka kropielnica, znajdujące się we wszystkich tyrolskich oberżach, zawieszone były przy drzwiach wchodowych. W jednym z kątów wznosił się olbrzymi, fajansowy piec szary z niebieskim, składający się z kilku pięter, z których najniższe służyło za uprzywilejowane siedzenie podczas dni chłodnych.

Deszcz padał od dnia poprzedniego, a był to deszcz zimny, połączony ze śniegiem. Nie mogąc dłużej wytrzymać, spróbowałem wyjść sam jeden po śniadaniu i wróciłem właśnie cały przemoczony, po godzinnym marszu, w czasie którego nic nie spotkałem. Siedziałem w pobliżu pieca, susząc me zmoczone do ostatniej nitki, ubranie, wystawiony na szydercze uwagi mych towarzyszów, którzy mi przedtem odradzali tę niefortunną przechadzkę.

Jeden z gajowych rozebrał mój sztucer i smarował oliwą zamki. Naraz usłyszeliśmy kroki w kurytarzu, drzwi się otworzyły, a w ich obramowaniu ujrzeliśmy tęgiego chłopa, owiniętego wielką peleryną; na ramieniu niósł topór, na którym zawieszony był płócienny worek.

Zdziwiony, zatrzymał się chwilkę u wejścia, rzadko bowiem oberża, zwiedzana w czasie lata wyłącznie przez turystów, gościła w swych ścianach tak liczne towarzystwo w tej porze roku.

Wszedł nareszcie, położył w kącie swój topór i worek, zdjął ociekającą wodą opończę i zasiadł w bliskości pieca, krzyknąwszy na usługującą kobietę, aby mu podała kieliszek wódki. Wkrótce rozpoczęła się rozmowa i przybysz objaśnił nam, że jest drwalem, że pracuje na jednej z poręb sosnowych w górach w czasie lata i że teraz wraca do jednej ze wsi w dolinie, dokąd liczył przybyć tego samego wieczora. Był to przystojny mężczyzna, dobrze zbudowany, prawdziwy typ południowego tyrolczyka, z czarnemi oczami, kędzierzawym włosem i śniadą cerą, ciemniejszą jeszcze z powodu halnych wiatrów. Rękawy koszuli zakasał poza łokcie, co pozwalało widzieć wystające mięśnie jego rąk potężnych.

Jeden z gajowych, stary figlarz, przyglądał się od chwili przybyszowi, poczem zrobił znak jednemu ze swych towarzyszów, siedzącemu na zydelku obok niego, i rzekł mu coś na ucho. Tamten uśmiechnął się potakująco, wyszedł do kuchni i po chwili wrócił, niosąc duży lejek, który położył na stole.

— Zróbmy zakład, Michale — rzekł do swojego towarzysza. — Chodźno tutaj na środek sali, stań prosto i włóż ręce w kieszenie.

Stary zrobił, co mu kazano.

— Teraz — dodał gajowy — wsadzę ten lejek za pas twoich spodni od przodu. Przechyl głowę w tył,

przy dnie ma okrągły otwór i przed nim miseczkę stale połączoną, u góry natomiast niema żadnego otworu. Woda, nalana przez miseczkę i otwór do przechylonego poidła, po odwróceniu 'go wpływa do miseczki na mocy prawa fizycznego tylko do pewnej wysokości, zależnej od ilości nalanej wody. W miarę ubywania wody w miseczce przez picie i bardzo słabe parowanie (co właśnie przyczynia się do dłuższego jej niezamarzania) podchodzi z naczynia zawsze świeża. Gdyby na miejscu nie było zduna, któryby takie poidła dostarczył, to trzeba sobie radzić i zwyczajną flaszkę, napełnioną wodą, odwrócić nad stosownem naczyniem, a skutek ten sam osiągniemy. Żeby się flaszka nie przewróciła i nie dostawała szczelnie do dna, należy ją ująć w stosowną podstawkę.

W czasie większych mrozów napełniać ogrzane poidła wodą + 30° R., w razie potrzeby dwa razy na dzień, żeby w poidle nie zamarzała.

Ponieważ kuropatwy na wolności przy wyszukiwaniu pożywienia zużywają stale dzioby (jak wiadomo, kuropatwy dziobami żer wyszukują), a w niewoli nie mają do tego sposobności, przeto w ciągu zimy mogłyby im się tak znacznie pozakrzywiać (pozarastać), że krzywizna ta staćby się mogła kalectwem, t. j. przeszkodą w odżywianiu. Aby temu zapobiedz, ustawia się w kuropatwiarni, tak w izbie, jak i w zasypie, kopczyki z silnie ubitej gliny i odpowiedniej wielkości, o które kuropatwy, wiedzione instynktem, dzioby zaostrzać mogą.

Pozostaje jeszcze do opisania przedsionek, do którego prowadzi troje drzwi, z których dwoje wewnętrznych opatrzone są otworami z siatką, aby tak do izby, jak do zasypu można było zajrzeć i skontrolować, czy wszystkie kuropatwy wyszły z ubikacyi, do której wejść zamierzamy. Ostrożność ta jest wskazana, aby kuropatwy niepotrzebnie nie płoszyć i do podrywania nie zachęcać.

W pozostałej, frontowej ścianie umieszczone jest dla widoku pionowe okienko. Łowienie kuropatw w kuropatwiarni, jak to już wyżej nadmieniliśmy, odbywa się w zasypie. W tym celu należy dnia poprzedniego przed wieczorem usunąć wszystko z zasypu, a w zamian rozpina się siatkę nad całą ubikacyą. Siatka ma być oparta przy zewnętrznej ścianie o podłogę, a przy wewnętrznej, dzielącej zasyp od izby, podciągnięta na ramie nieco wyżej, jak wiadomy przetak.

Kiedy manipulując odpowiednio przy drzwiach izby, kuropatwy przejdą do zasypu, zastawia się przejście deską i obserwuje ruchy kuropatw, a następnie w stosownej chwili, zwykle gdy się skupią w gromadkę, siatkę wolno opuszcza.

Przy węższej ścianie, *vis-à-vis* drzwi umieszcza się poprzednio nizka, ciemna klatka otwartym bokiem do zasypu. Do boków klatki przystawić ukośnie dwie deseczki w tym celu, aby kuropatwy pędzone naprzód przez unoszenie siatki od strony wejścia łatwiej do niej weszły. Kiedy wszystkie kuropatwy wejdą do klatki, wówczas spuszcza się podniesiony bok. Przy łowieniu unikać dotykania kuropatw rękoma.

Jak postąpić dalej i w jaki sposób wypuścić kuropatwy na otwarte pole, było wyżej opisane.

Po wypuszczeniu kuropatw należy kuropatwiarnię gruntownie oczyścić, piasek usunąć, ściany przynajmniej spodem, a ewentualnie i podłogę wybielić w celu dezynfekcyi, w ciągu lata zaś często przewietrzać.

(C. d. n.).

Józef hr. Potocki.

Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu.

CEJLON.

(Ciąg dalszy).

Jedną z najprzyjemniejszych zalet Cejlonu dla myśliwego, który sobie wyprawę urządzić pragnie, jest kompletna niezależność od osób tu zamieszkałych, których pomoc, względnie obecność, naturalnie nie zawadzi, lecz się zupełnie bez niej obejść można. Dobry „shikari“, czyli myśliwy, jak Soult, gra tu głów-

jak możesz najwięcej, kładę na twem czole florena. Trzeba, abyś wyprostowując powolnie ciało i głowę, opuścił pieniądz w lejek. Jeżeli ci się to uda, floren będzie należał do ciebie. Jeśli wszelako po trzech razach nie trafisz w lejek, przegrywasz i musisz mi dać guldena. Zgadzasz się?

— Dobrze — odpowiedział Michał.

Wszyscy otoczyli kołem obu zakładających się i umocowano lejek pomiędzy paskiem a koszulą. Michał spróbował trzy razy, lecz za każdym razem pieniądz padał obok lejka.

— Przegrałem—odezwał się—Trudniej to zrobić, aniżeli przypuszczałem.

Drwal podszedł i przyglądał się z zajęciem przebiegowi zakładu.

— Nie musi to być jednak tak trudne — wybąknął.

— Chcesz spróbować? — spytał gajowy.

— I owszem.

— No to chodź tu, mój chłopcze.

Podczas, gdy robiono przygotowania, Michał ulotnił się do kuchni, wrócił jednak zaraz z karafką wody, którą postawił na stole.

Gajowy umocował lejek za pasem przybysza; wówczas ten przechylił w tył głowę, jak to widział u Michała. Położono mu florena na czole.

— Czujesz go? — zapytał gajowy, naciskając silnie palcem sztukę guldenową.

— Tak, czuję go.

W tej chwili Michał schwycił karafkę i wylał do lejka znaczną część jej zawartości. Biedny drwal wydał okrzyk i podskoczył do góry pod wrażeniem tej zimnej wody, która mu spływała po nogach. Całe towarzystwo śmiało się do rozpuku.

Spostrzegłem wtedy w błyszczących oczach drwala wyraz szalonego gniewu i powiem szczerze, żem się przez chwilę obawiał skutków tego dotkliwego żartu. Gulden potoczył się pod stół. Wziąłem go i zbliżywszy się do ofiary, rzekłem:

— Macie to, człowieku; pieniądz ten do was należy; zarobiliście nań uczciwie.

Twarz biedaka rozjaśniła się, jakby pod wpływem czarów. Wziął pieniądz i podziękował mi; poczem skierował się do kuchni, aby osuszyć swe ubranie, lecz po drodze zatrzymał się i zwracając się do gajowego, rzekł:

— Wiesz bracie, za tę cenę gotów jestem rozpocząć próbę, skoro tylko zechcesz.

ną rolę, i takiego sobie wynaleźć, lub z góry zapewnić, jest koniecznym warunkiem do urządzenia myśliwskiej wyprawy.

Jako „shooting-ground", wybrałem południową prowincyę wyspy w okolicach Hambantoty, na wybrzeżu wschodniem, o której słyszałem i czytałem, że w najlepsze rewiry grubego zwierza obfituje.

Dobrze się składało, bo w następnym tygodniu miał właśnie wyruszyć z Colombo statek, okrążający wyspę wokoło, który do Hambantoty zachodzi. Na nim postanowiliśmy udać się w drogę, a tymczasem pozostawał nam tydzień wolny do obejrzenia Colombo, jego okolic, i odbycia podróży do Kandy w celu złożenia rezydującemu tam gubernatorowi, wizyty i uzyskania od niego potrzebnych licencyj i rekomendacyj.

Spacer popołudniowy zaznajomił nas z miastem, jego położeniem i głównemi ciekawościami.

Colombo składa się, podobnie jak Bombaj i wszystkie większe miasta kolonij angielskich w Indyach Wschodnich, z europejskiej części t. zw. Fortu i kilku przedmieść, które Fort otaczają i stanowią siedzibę ludności krajowej.

Fort kolombijski założony został w wieku XVI przez żeglarzy portugalskich, którzy pierwsi z europejskich narodów panami wyspy się stali i utworzyli tu jedną z największych swoich faktoryj na Cejlonie. Po nich przyszli Holendrzy, którzy przez półtora wieku na wyspie gospodarowali, aby w końcu ubiegłego stulecia ustąpić miejsca Anglikom; dopiero pod rządem tych ostatnich, Cejlon w całej pełni cywilizacyi z bogactwa swej ziemi zakwitnął i Colombo wzniosło się do znaczenia głównego emporium handlowego Dalekiego Wschodu.

W dzielnicy europejskiej wznoszą się główne gmachy rządowe, hotele, biura, sklepy i t. p. Za nią leży „Pettah", czyli t. zw. „czarne miasto" krajowców i przedmieście Colpetty z ogrodami i willami bogatych mieszkańców.

Ruch uliczny w dzielnicy krajowców daje ciekawy obraz rozmaitych ras i narodowości, z których ludność tubylcza się składa.

Przeważa Syngalez o wyraźnym typie aryjskim, z dziwną fryzurą długich włosów, ułożonych w węzeł z tyłu głowy i półokrągłym grzebieniem szyldkretowym na środku czaszki, co mu nadaje wygląd kobiecy, odpowiadający zresztą jego wrodzonej miękkości fizycznej i moralnej. Ubranie ich stanowi rodzaj spódnicy kolorowej, około bioder okręconej; do pasa zwykle są obnażeni, albo przerzuconą chustką okryci.

Czarnego Tamila łatwo odróżnić po budowie ciała, świecącego się w słońcu, jak stopiony metal; znacznie też jest roślejszy i silniejszy od chuderlawego Syngaleza. Tamili przybyli na Cejlon z hindostańskiego kontynentu południowych Indyj, oraz z półwyspu Malajskiego i szybko się tu rozgościli. Zajmują się przeważnie cięższemi robotami fizycznemi, których leniwy i słaby Syngalez unika. Dziś liczą około miliona dusz tamilskiej ludności na wyspie, przy dwóch milionach Syngalezów.

Po nich najliczniejszy odłam ludności na Cejlonie i w samem Colombo stanowią Indo-Arabi, tu Moormanami zwani, potomkowie arabskich zdobywców, którzy przed dwoma tysiącami lat, w zamierzchłej przeszłości, na Cejlonie się osiedlili. Wspominają o tem kroniki arabskie, wyliczając bajeczne bogactwa cudownej „Serendib".

Dzisiejsi Moormanowie, wierni Proroka wyznawcy, odgrywają tu rolę Żydów w naszych miastach, skupiwszy handel większy i uliczny w swych rękach.

Wobec tych trzech głównych części składowych całej ludności na Cejlonie i w jego miastach, znikają prawie zupełnie inne narodowości, pojedyńczo tu i owdzie rozrzucone, jak kulisi indyjscy, przejezdni Afgani, do łowienia słoni używani, Parzisy w celach handlowych z Indyj przybyli, wreszcie Europejczycy prawie wyłącznie Anglicy, których nie więcej, niż parę tysięcy na całym obszarze wyspy się znajduje.

Do tych ostatnich pragnęliby się zaliczyć t. zw. Burgery, czyli mieszańcy rasy krajowej z Portugalczykami i Holendrami, byłymi gospodarzami wyspy; jest ich około 10,000, a jednocząc niektóre przywary białej rasy z ogólną ciemnotą i dzikością obyczajów krajowców, przedstawiają nieudatny produkt obu tych ras krzyżunku.

Przejażdżka po ulicach dzielnicy „Pettah" pozwala wejrzeć choć pobieżnie w szczegóły życia domowego i domowych zajęć czarnych jej mieszkańców.

Jak zwykle na Wschodzie, dom a ulica są równoznaczne. Jak w latarni magicznej, przesuwają się przed okiem przechodnia sceny domowego życia, tysiącznych zajęć i drobnych szczegółów codziennej egzystencyi licznej, 100,000 dusz wynoszącej, różnobarwnej ludności krajowej stolicy Cejlonu.

Domy, a raczej mizerne chaty, naoścież są otwarte; brak w nich drzwi i okien — lokatorowie więcej żyją pod gołem niebem, w skwarze palącego słońca, niż wewnątrz swoich mieszkań, których tylko do nocnego używają spoczynku.

Właściwością Colombo są oryginalne wózki, t. z. „riksza", do krążenia po mieście używane. Wązkie siedzenie na jedną osobę, z ceratową budą, jako ochroną przed deszczem lub słońcem, osadzone na dwóch wysokich, cienkich kołach, tworzą ten dziwny ekwipaż, zaprzężony Tamilem lub Syngalezem, który biegnie wyciągniętym chodem i w niczem dobremu dorożkarskiemu koniowi w prędkości, a nawet wytrwałości nie ustępuje. Godzinami całemi biegają ci ludzie równym kłusem i wcale nie zdają się odczuwać zmęczenia. Rikszę importował do Cejlonu jakiś pomysłowy anglik z Japonii, gdzie są w ogólnem użyciu.

(C. d. n.)

Gawędy starego myśliwego.

IX.

W którym było to roku, nie pamiętam, ale zima wówczas była ostra i niezwykle śnieżna, to też zwierzyna poruszała się leniwo, a raz poruszona i brnąc w głębokim śniegu, przedstawiała łatwą zdobycz nawet i dla tych z myśliwych, których strzały spotykały się najczęściej z jakąś nieprzewidzianą przeszkodą i naturalnie chybiały.

W ciągu nocy spadł śnieg nowy i dość obfity, pokrył wszystkie dawniejsze ślady zwierzyny, a stworzył ponowę, ów stan magiczny, który porusza i zachęca do czynu każdego prawdziwego myśliwego; rozległy się w całej okolicy trąbki, nawoływania i tak miły dla ucha myśliwego, głos gończych, bo lasów było jeszcze sporo, a w lasach tych nie brakowało większej zwierzyny, jak lis, wilk, dzik i kozioł, chociaż o hodowli i oszczędzaniu zwierzyny nikt jeszcze nie myślał. Strzelało się wszystko i w każdym czasie, a jednakże pamiętam, jak w jednym tylko miocie i przy dziesięciu strzelcach padło raz szesnaście lisów, drugi raz trzynaście wilków, a trzeci raz dziesięć różnego wieku dzików, i nikt z myśliwych z takiego rezultatu polowania wiele się nie dziwił.

Sam w młodości, polując w lasach nadpilicznych, strzeliłem do zbitej kupy kilkudziesięciu sztuk sarn i kozłów, jaka stanęła przedemną w odległości jakichś trzydziestu kroków, i jednym strzałem zabiłem dwie kozy i jednego kozła. Wiele zaś raniłem sprawdzić było trudno, bo było to podczas jesieni i bez śniegu, a zresztą i o postrzeloną zwierzynę nie bardzo się wówczas troszczono. Ale wyobraźcie sobie, bracia myśliwi, ów rzadki, jeżeli nawet i niemożebny już dziś, widok, kilkudziesięciu sztuk sarn i kozłów,

które pierzchnęły po tym strzale, rozbiły się w różne strony, otoczyły w części strzelca i jak błyskawica, zniknęły następnie w gąszczach leśnych.

Przygody i wrażenia takie nie zapominają się nigdy, i wątpić nawet można, czy doświadczą tych wrażeń kiedykolwiek młodsi nasi myśliwi, bo wtedy polowało się w lasach przeważnie dzikich, a nawet i zwierzyna w owych lasach była o wiele dziksza od zwierzyny teraźniejszej, bo otaczana teraz przeważnie opieką ludzką i żyjąc, że tak powiem, wśród ludzi i zwierząt domowych, oswaja się z ich widokiem.

Ale wróćmy do początkowej treści moich gawęd, od której mimowolnie odbiegłem.

Porozumiałem się szybko z blizkim moim sąsiadem i wielkim zwolennikiem myślistwa, zebraliśmy kilkunastu chłopaków naganki pod kierunkiem gajowego i ochoczo ruszyliśmy do lasu.

Las ten, otoczony naokoło polami, zawierał jakie dwieście pięćdziesiąt morgów obszaru i wązkim pasem ciągnął się ku wzgórzom nadwiślańskim, a przecinające go na poprzek, dość liczne drogi przedstawiały dla strzelców doskonałe stanowiska.

Rozstawiając nagankę do pierwszego miotu, rozpoczynającego się od pola, spostrzegł gajowy świeże tropy ogromnego dzika, który wszedł do lasu; przybiegł więc do nas z tą wiadomością i z żądaniem instrukcyi.

Poleciłem mu rozstawić nagankę na całej szerokości lasu, posuwać się wolno i cicho, a samemu gajowemu nie schodzić z tropów dzika.

Był to stary i ogromny pojedynek, jak się potem pokazało, leżał w niewielkiej odległości od pola, a poruszony przez gajowego i nagankę, z początku uciekał wolno z powodu głębokiego śniegu, ale następnie rzucał się wielokrotnie na gajowego i zmuszał go chronić się na drzewo.

W ten sposób zrobiliśmy cztery mioty, na każdym miocie widzieliśmy owego dzika i naturalnie nie strzelaliśmy do żadnej innej zwierzyny, ale na nieszczęście, mijał nas daleko i bez możności skutecznego strzału.

Tak doszliśmy do ostatniego miotu, mającego zaledwie kilkanaście morgów obszaru i porośniętego przeważnie drobnemi krzakami, a który od głównego lasu przedzielony był szerokim gościńcem, a drugim końcem dochodził do drogi bitej, przechodzącej nad brzegiem wzgórza powiślańskiego.

Pozostaliśmy na gościńcu, a nagankę puściliśmy od drogi bitej ku większemu lasowi.

Miot był niewielki, pomimo dość gęstych krzaków naganka przyszła do nas równo, ale dzika nie było.

Zgromadziła się około nas naganka, a na zapytanie moje odpowiedzieli wszyscy, że ani dzika, ani śladów jego nie widzieli.

Rozmowa w tym przedmiocie trwała jakieś minut dziesięć, i jak zwykle z naszym ludem gwarno i głośno. Nie przypuszczając jednakże, ażeby dzik mógł pozostać w miocie tak niewielkim i gęsto przebytym przez nagankę, pragnąc wszakże przekonać się, w którą dzik udał się stronę, zaproponowałem towarzyszowi objechać w tym celu miot cały.

Zawołano sanki, stojące w oddali, poleciłem nagance poczekać na miejscu, wyjęliśmy z broni ładunki i nie zdążyliśmy jeszcze usadowić się w sankach, kiedy rozlega się krzyk przeraźliwy jednego z naganki i jednocześnie widzimy, jak wyrzucony w powietrze, wywrócił prawie koziołka i głową naprzód zarył się w zaspie śnieżnej.

Dzik leżał od nas wszystkich o kilka kroków, zanurzony w śniegu i gęstym krzaku, wysłuchał najspokojniej cały przebieg naszych o nim narad, i wtedy dopiero się podniósł, kiedy jeden z naganki, odsunąwszy się nieco od gromady, wlazł na niego.

Dzik skierował się ku Wiśle, wybiegł na szosę, a tam, spłoszony przez krzyki przejezdnych, ukrył się w krzakach niewielkiego a najbliższego parowu.

Otoczyliśmy ów parów.

Za zbliżeniem się do parowu dzik szybko wybiegł, rzucając się odrazu na jednego z naganki, zastępującego mu drogę, przewrócił go silnem uderzeniem, ale na szczęście, rozdarł mu tylko cholewę u buta i nieszkodliwie skaleczył kłem nogę, a następnie skierował się ku ogrodom i zabudowaniom niedaleko położonej wioski, gdzie zniknął nam z oczu. Usłyszeliśmy tylko nawoływania i krzyki ludzkie, a więc wioskę minął. Około parowu daliśmy do niego cztery strzały na jakieś dwieście kilkadziesiąt kroków, na tropie pokazały się krople krwi, był więc raniony, chociaż prawdopodobnie lekko, ale zbliżająca się noc, śledzić go dalej nie pozwalała.

Na drugi dzień rano doniósł mi gajowy, że wczorajsze ślady dzika odszukał, że dzik podczas przebiegu wiorst kilku odpoczywał kilkakrotnie, pozostawiając początkowo słabe ślady krwi, że ślady te następnie ustały, a dzik ukrył się ostatecznie w moim zagajniku, z którego nie wyszedł.

Wybrałem się natychmiast.

Drugą broń dałem gajowemu.

Zagajnik był bardzo gęsty i zwarty, poleciłem więc gajowemu postępować śladem dzika, który na szczęście, przez noc zasypany śniegiem nie był, a sam szedłem równo z gajowym o kilka kroków z boku.

Posuwaliśmy się bardzo wolno z powodu głębokiego śniegu, gęstości zagajnika i potrzeby nierozejścia się w tym gąszczu.

Przeszliśmy w takim porządku jakieś dwieście kroków, zachowując się możebnie najciszej, kiedy raptem usłyszeliśmy trzask łamanych gałęzi, i zaledwie zdążyliśmy się zatrzymać, ujrzałem już dzika pod nogami gajowego, który rzucił broń na ziemię, i uchwyciwszy za gałąź grubszej, na szczęście brzozy, uniósł się w górę i zawisł w powietrzu.

Strzał miałem doskonały, bo zaledwie o kroków kilka i do całego boku dzika; to też po pierwszym zaraz strzale dzik zakręcił się tylko na miejscu i upadł.

Tylko swej zręczności i szczęśliwie spotkanej, większej brzozie zawdzięczać może gajowy swoje ocalenie, bo napad dzika był tak szybki i niedostrzegalny w gąszczu, że nawet napadnięty nie miał czasu zmierzyć się i wystrzelić. To też dziwić się nie można, że trochę zbladł, dostał febry, i trochę długo przypatrywał się zabitemu dzikowi, czy jeszcze czasami nie wstanie.

Zabity dzik ważył 485 funtów, a z takim jegomościem niebardzo jest bezpiecznie spotkać się nawet i nieodrodnym potomkom tych ojców, którzy spotykali takie dziki tylko z kordelasem albo oszczepem w ręku.

Prawda, że ci ojcowie nasi zaprawiali się przeważnie w siły i zręczność na dzielnych rumakach, w zbroi, z kopią i mieczem przy boku, a my rumaka zastępujemy rowerem, zbroję i hełm jakąś mycką, kurtką i pluderkami niemieckiemi, a kopię bilardowym kijem. Z takiego rynsztunku naszego cieszy się prawdopodobnie najwięcej ów butny dziś sąsiad nasz, niemiec, który w tak niedawnych jeszcze czasach bladł na widok sarmackiego oblicza i spotkać wroga z podniesioną przyłbicą, jak to dziś woła, wcale się nie spieszył.

L. Łaszcz.

Jak leczono psy sto lat temu.

W r. 1823 kandydat filozofii, Ignacy Bobiatyński, wydał w Wilnie dzieło dwutomowe, poświęcone nauce łowiectwa. W książce tej znajduje się rozdział, zawierający „opisanie główniejszych chorób psów i spo-

sobu ich leczenia", przyczem autor powołuje się na francuskie dzieło medyczne, wydane w 1804 roku, czyli 102 lata temu. Ciekawy ten i pouczający rozdział jest poprzedzony wstępem, który opiewa: „Zwierzęta domowe w ogólności podlegają większej liczbie chorób, aniżeli na wolności żyjące. Te albowiem ostatnie, będąc oddane naturze i powodując się tylko instynktem przyrodzonym, bynajmniej nie zbaczają z drogi właściwego im życia, domowe zaś zwierzęta, karmione ręką człowieka, i od jego woli zupełnie prawie zależące, częstokroć takich przeciwności dla swego organizmu doświadczają, iż ztąd koniecznie podlegać muszą rozmaitym słabościom, albo i ciężkim chorobom.

Z tego względu nie dosyć jest, aby przedsiębiorący dozór psiarni, umiał układać psa do pola i z nim polować, ale jeszcze powinien znać, jak ma zapobiegać chorobom, wywiązującym się, i zaradzać obecnym. Najgłówniejszą jednak jest rzeczą, aby przez pilny dozór i porządne utrzymanie, ochronić psy od wszelkich dolegliwości; dobry karm, ochędożne utrzymywanie, umiarkowanie pracy, są to okoliczności, które najbardziej pomagają do dobrego bytu tego rodzaju zwierząt.

Chowanie i pielęgnowanie ich we wszystkich niemal krajach dla większej części mieszkańców stanowi przyjemne zatrudnienie. Religia mahometańska, nakazująca pieczołowitość dla zwierząt, w społeczności użytecznych, stała się pobudką, iż mieszkańcy składają udzielne daniny na utrzymanie gromad psów, nawet wolno chodzących. A ile myśliwy, przywiązany do psa wiernego i zdatnego do pola, nad jego stratą czuć może, ten tylko sobie wyrazić potrafi, kto jest miłośnikiem prawdziwym sztuki łowieckiej.

Co zaś do sposobów zapobiegania rozmaitym dolegliwościom, badając o nich w wielu dziełach, po większej części w cudzoziemskich językach pisanych, starałem się sposoby najpewniejsze i doświadczeniem sprawdzone wybrać, nowe zaś z akuratnością wyłożyć. Lecz obok tego za rzecz głównej wagi osądziłem, wszystkie choroby niebezpieczne, rodzaj psów do myślistwa używanych dotykające, wedle ich znaków rzeczywistych opisać, jedne od drugich rozróżnić, bieg i niebezpieczeństwo im towarzyszące oznaczyć, oraz w każdym razie środki łatwe, niekosztowne, ku ratowaniu służyć mogące, w szczegółach opisać.

O nosaciźnie psów.

Ta choroba jest jedna z najniebezpieczniejszych dla psów, a jej leczenie wymaga pilności, uwagi szczególnej i niemniejszego doświadczenia. A że nosacizna częstokroć okazuje na pozór symptomata, podobne do wścieklizny, staje się często powodem do zabijania psów z wielką szkodą dla myśliwego; zatem, żeby zapobiedz niepowetowanej stracie i takiej omyłce, zastanowimy się nad jej symptomatami i rozpoznaniem ich, oraz środkami przeciwko niej służącemi.

Od roku 1763 i 1764 choroba ta przeniesiona z Anglii, znana być zaczęła we Francyi („*Essai de Venerie, seconde edit. p. 151 par Mr. le Comte Desgraviers. Paris 1804*"). Dzisiaj stała się już powszechnie epizootyczną i zaraźliwą dla psów, bardziej dla młodych, niżeli dla starych, a nawet u pierwszych częstokroć bywa nieuleczoną. Tej chorobie to jest właściwe, że skoro pies raz ją przebędzie, już napotem wolny zostanie od jej zarazy.

Aby dobrze poznać tę chorobę, która stadłu myśliwskiemu znaczne zadaje klęski, dołączę tu symptomata, które za charakterystyczne uznane zostały od doświadczonych weterynarzy. Pies dotknięty nosacizną, staje się smutny, słaby, niespokojny i lękliwy, szuka miejsca do skrycia się, oczy jego zapływają materyą ropiastą, zaczyna kaszlać, oddech ma krótki i śmierdzący, niekiedy nawet tak dalece słabieje, że chodzić nie może, albo chodząc, chwieje się na różne strony. Jednakowoż te symptomata czasami nie wszystkie się razem objawiają; zdarza się, że tylko niektórym z nich pies podlega. Wszelako najczęściej chęć do jadła ustaje, a towarzyszy nadmierna ponurość, ociężałość, słuch tępy, wzrok słaby, oczy smętne, zewnątrz wyparte. Często się też trafia, że przy tych cierpieniach pies gwałtownie kaszla, albo też nawet kicha, i w tym razie, nozdrza się zalepiają materyą lepką, białawą, język jest nieczysty, pokryty szlamem. Dalej następuje nudzenie i womity, podczas których wyrzuca się wilgoć kleista z pianą pomieszana, albo nawet żółć, a niekiedy same robaki; wówczas pies zwraca głowę na boki, z kurczem kołowatym, który czasami do wszystkich członków, czasem do jednego któregokolwiek, najczęściej jednak do tylnych się rozchodzi.

Już nadmieniliśmy, że psy młode prędzej zarażają się, niż stare, u pierwszych więc z oczu i nosa natychmiast płynie materya śmierdząca, biaława, a niekiedy zupełnie żółta, lub szara, kleista, nozdrza zupełnie zatykająca. Oczy ropą zalane i smętne, na błonie rogowej przezroczystej wznoszą się liczne pryszcze, a niekiedy zupełnie ta błona zaciemnia się; niektóre przeto psy zaraz ślepną. Dalej, z pyska daje się czuć woń śmierdząca, a tymczasem język biały, spieczony, odchody całkowicie zatrzymane, albo odchodzą z wielką trudnością, i są brunatno-kasztanowatego koloru, twarde, połączone z żółtą materyą. Zaraz po przyjęciu pokarmu, gdy nastąpi wyrzut, ten odchodzi z wilgocią śluzowatą lub materyą żółtawą, a częstokroć ze krwią; także znajdują w ekskrementach robaki drobne lub też glisty.

(C. d. n.).

Prawo łowieckie w Chinach.[1]

Historya myślistwa w Chinach przeszła zupełnie podobne fazy jak i w Europie. Naród chiński lubił pasyami polowanie i chętnie mu się oddawał, po zbiorach, widząc w niem rodzaj ćwiczeń wojskowych. Wkrótce jednak myślistwo staje się przywilejem możnowładców, których nadużycia w tym kierunku przypominają nasze czasy feodalne.

Nawet *Księga Obrzadków*, traktująca o wszelkich objawach życia ludzkiego, zaleca cesarzowi i możnowładcom poświęcanie się myślistwu, o ile nie szkodzi to interesom państwa.

Przepisy te jednak nie zawsze były obserwowane i niektórzy monarchowie chińscy spędzali niekiedy sto dni na polowaniu, zdala od dworu, niszcząc pola dla swej rozrywki, a szkody, jakie czynili, zdawały się ich mało obchodzić.

Historya powszechna Chin, czyli roczniki tego państwa, przetłómaczone z Tong-Kien-Kang-Mu przez ś. p. ojca Józefa-Annę-Maryę de Moyriac de Mailla, jezuitę francuskiego, misyonarza w Pekinie, a opublikowana przez ks. Grosier'a w 1777 r., zkąd czerpiemy poniższe wiadomości, potwierdza te fakty.

„Cesarz U-Ti z VIII-ej dynastyi (459 roku ery chrześciańskiej) po wojnie przeciw Liku-Tan'owi (461 roku) poświęcił się wyłącznie własnym przyjemnościom. Ulubioną jego zabawą było polowanie, któremu poświęcał się bez upamiętania, polując nieraz od rana do wieczora, co musiało się odbić ujemnie na rządach".

„Tai-Kang robił częste wyprawy myśliwskie w stronę rzeki Lo-ho, gdzie nieraz spędzał sto dni, nie wracając wcale do stolicy. Naród, widząc swe pola zni-

[1]) Wiadomości, zawarte w tym artykule, czerpiemy z obszernego dzieła p. Ernesta Demay'a, „Recueil des lois sur la chasse en Europe et dans les principaux pays d'Amérique, d'Afrique et d' Asie". Paris 1894.

szczone przez te łowy, które pozbawiały go owoców ciężkiej pracy, szemrał głośno i byłby się niewątpliwie zbuntował, gdyby nie wzgląd, że Tai-Kang był wnukiem Ju, którego pamięć czczono wśród ludu".

Podczas panowania XV-ej dynastyi Hen-Tang'ów, w 923 roku ery chrześciańskiej, pod panowaniem Chuang-Tfong'a działo się nielepiej.

„Pewnego razu, mówi wspomniane dzieło, cesarz polując w okolicach Czong-Men, rozmawiał dużo o szkodach, wyrządzanych na gruntach ludowych, wówczas mandaryn Czung-Men, zatrzymał swego konia i padając na kolana, rzekł: „Czyż Wasza Wysokość, ojciec swych poddanych, nie naraża ich na śmierć głodową i nędzę, niszcząc im tę trochę płodów, które mają na swe wyżywienie?" Cesarz, rozgniewany tą śmiałością mandaryna odepchnął go ze wzgardą i chciał go nawet skazać na śmierć. Wówczas aktor King-Jinmo, który towarzyszył monarsze, udając, że łaje mandaryna, rzekł: „Jako urzędnik państwowy powinieneś wiedzieć, że nasz pan lubi polowanie. Jeśli pozwalasz twoim podwładnym uprawiać ziemię, to chyba tylko dlatego, żeby stawiać naszemu monarsze przeszkody w jego rozrywkach. I sprawiedliwości stanie się zadość, jeśli zginiesz". A zwracając się do cesarza, dodał: „Proszę Waszą Cesarską Mość, abyś pozwolił mi być obecnym przy jego straceniu". Cesarz uśmiechnął się i zwolnił mandaryna od kary".

W czasie panowania III-ej dynastyi Czen, 313 r. przed erą chrześciańską, pod rządami Nan-Uang'a używalność lasów była przywilejem nietylko monarchy, ale i jego poddanych, którym przysługiwało prawo polowania i łowienia zwierzyny. Sądząc jednak z następującej cytaty, zdawaćby się mogło, że niektóre części lasów były zarezerwowane wyłącznie na użytek książąt na mocy specyalnych dekretów i że w takim razie zabicie jelenia w częściach zarezerwowanych, karane było również surowo, jak zabicie człowieka.

„Filozof Mong-Tfe, uczeń Tfe-fse, wnuka Konfucyusza, rozmawiał pewnego razu z Suen-Kongiem, księciem Tfe, którego panowanie zaczęło się w 455 r. przed Chrystusem. Książę ten rzekł do niego: „Park Uen-Uang miał siedmdziesiąt *ly* kwadratowych przestrzeni; nieprawdaż. — Tak się zdaje według tradycyi — odpowiedział Meng-Tfe. — Jeżeli tak było, to ten park był bardzo duży — dodał książę. — A jednak lud znajdował go bardzo małym — zauważył Meng-Tfe. — Jakto — rzekł książę. — Mój park ma zaledwie czterdzieści *ly*, a jednak mój lud uważa go za zbyt rozległy. — Panie — objaśnił filozof — park Uen-Uang miał siedmdziesiąt *ly* powierzchni i lud uważał go za zbyt mały, *bo miał na nim używalność na równi z monarchą*; poddani mogli tam zbierać siano, ciąć drzewo *i łowić zwierzynę*.

„Kiedym po raz pierwszy stąpnął na waszych ziemiach, poinformowałem się co do wszystkich dekretów, aby się do nich zastosować. Dowiedziałem się wówczas, że pomiędzy Kiao a Koan'em znajduje się park, mający czterdzieści *ly*, i że *jeśli w tym parku ktokolwiek zabiłby jelenia, ma być karany równie surowo, jak za zabicie człowieka*. Zrozumiałem wtedy, że jest to jakby wielki dół, wykopany wpośród waszego państwa i jakby pułapka na waszych poddanych. Cóż więc dziwnego, że ci znajdują go zbyt wielkim?"

(*Dok. nast.*).

O trenowaniu wyżłów.

Jestem już myśliwym nie dzisiejszej daty i wszelkie sprawy, tyczące się postępu naszego łowiectwa, zawsze mnie żywo obchodziły; nie mogę sobie jednak przypomnieć, abym kiedykolwiek spotkał się u nas z kwestyą potrzeby trenowania wyżłów. Myśliwi nasi, a znam ich, chwała Bogu, bardzo wielu, jakoś w tym względzie zachowywali dotąd milczenie, to samo działo się i w literaturze łowieckiej, pomimo że mamy wydanych w różnych czasach kilka podręczników, obszernie traktujących o wychowie i układaniu wyżłów, w żadnym z nich nie znalazłem nic podobnego. Dopiero kilka lat temu w jakimś opisie o polowaniu w Anglii wziętym z „Field'a, wyczytałem coś w tym względzie obszerniejszego i o ile zdołałem zapamiętać, postaram się tu powtórzyć, gdyż sądzę, że tem zainteresuję czytelników niniejszego pisma.

Wyżeł, aby mógł okazać się w zupełności zdolnym do wytrwałej i uciążliwej pracy na polowaniu, musi tak samo, jak koń do wyścigów przeznaczony, pozbyć się niepotrzebnego tłuszczu, wzmocnić muskuły i przysposobić płuca. Jak trenowanie konia, tak i trenowanie psa polega na umiejętnem stosowaniu żywienia i stopniowaniu roboty, naturalnie z uwzględnieniem indywidualnych własności, jak: stopnia otłuszczenia, wieku, stanu zdrowia, a nawet rasy i typu, wskutek czego nie można wskazać dokładnego przepisu postępowania.

Regularne i intensywne żywienie psa jest warunkiem w trenowaniu niezmiernie ważnym, więc mięso, jako dające najwięcej siły, przeważnym powinno być pokarmem, w trzech racyach dziennie podawanym. Zrana na śniadanie, przynajmniej na godzinę przed rozpoczęciem roboty, mięso gotowane (rosół pozostawia się na kolacyę); — po skończonej robocie, gdy pies należycie odpocznie, podaje mu się jako na obiad, mięso surowe, w małe kawałki pokrajane, a gdyby on je jadł niechętnie, co się niekiedy zdarza u psów wypieszczonych, podsmażyć je nieco należy; — przed wieczorem na kolacyę rosół z kaszą jęczmienną w letnim stanie, które to danie może być obfitsze co do ilości, bo je pies przez noc dostatecznie przetrawi.

Aby wyżła należycie wytrenować, należy zabrać się do tego wcześnie, przynajmniej na pięć tygodni przed sezonem polowań, i prowadzić tę czynność ostrożnie z zachowaniem oględności, aby psu zdrowia nienadwerężyć.

Pierwszy tydzień. W pierwszym dniu roboty, rozpocząć ją należy od zwykłej przechadzki porannej w swobodnem i dowolnem tempie, ograniczając się na trzech wiorstach, a w drugim na czterech, gdy w trzecim i następnych wyjechać już należy konno, welocypedem lub w ekwipażu i przejeżdżać po cztery wiorsty w takiej szybkości, aby pies obok biegnący, przebył tę przestrzeń od początku do końca w takim chodzie, jaki jest pożądany na polowaniu.

Drugi tydzień. Zwykła poranna robota cztery wiorsty z dodaniem popołudniowej w dwie godziny po zjedzeniu obiadu i odpoczynku, poczynając przez pierwsze trzy dni patrzy, a resztę po cztery wiorsty.

Trzeci tydzień. Robota poranna i popołudniowa po pięć wiorst przez cały tydzień.

Czwarty tydzień. W pierwszych trzech dniach, rano i po południu po pięć wiorst, z dodaniem roboty, o godzinie siódmej przed wieczorem wynoszącej trzy wiorsty, — w pozostałych czterech dniach zrównać wszystkie trzy roboty do pięciu wiorst.

Piąty tydzień. Wszystkie trzy roboty przebiegać po pięć wiorst, z krótkiemi kilkoma przystankami, wybierając miejsca ocienione, aby pies mógł nieco się odziajać.

Oto mniej więcej cała manipulacya trenowania wyżłów, od której naturalnie małe odstępstwa robić można, jeżeli tego wymagać będzie konieczna potrzeba. Nie jest ona, jak widzimy, zawiłą, lecz nie łatwą do wykonania, szczególniej dla myśliwych, mieszkających po miastach. Kto ma zaufanego i sprytnego służącego, to jeszcze pół biedy, w każdym razie sądzę, że byłoby zawsze bezpieczniej samemu trenowanie przeprowadzać.

Podczas trenowania, codziennie należy rewidować podeszwy psa i zmywać wodą z octem, a skoro zauważy się ciepło zwiększone, wtedy smarować biał-

kiem z jaja. W razie uszkodzenia podeszwy natrzepywać odwarem taniny.

Pies odpowiednio wytrenowany, niewątpliwie na polowaniu okaże się wytrwalszym od tłuściocha, a łatwiej znosząc upał, i wietrzyć lepiej będzie, więc kto może, niechaj psa trenuje i o otrzymanym rezultacie myśliwych powiadomi, co będzie zachętą, sprawdzoną doświadczeniem.

J. Biesiekierski.

PAMIRY.

(Z niemieckiego).

Przez **Wł. Czerniejewskiego**.

Ciekawy epizod przejścia wyżyn Pamirskich przez ekspedycyę znanego, duńskiego podróżnika, kapitana Olussena, zamieszcza jedno z pism niemieckich, a choć opis ten nie rysuje nam scen myśliwskich, tem niemniej budzi w myśliwym pewien interes poznania fauny i flory tych surowych i dzikich krain, większości naszych nemrodów nieznanych.

W początkach września 1896 r., pisze ów podróżnik, znajdowałem się z mą nieliczną ekspedycyą w obrębie małego państwa Darvasu, w zachodniej części Pamirów położonego, a należącego do władcy Buchary z dynastyi Magitów, tu od 1784 r. panujących. Na wysokości 14,000 stóp nad powierzchnią mórz położonej, w zaciszu górskiej rozpadliny, pod osłoną mizernego lasku wierzb i loziny oraz karłowatych krzewów kolczastego tragakantu, rozbiłem mój namiot, a obóz złożony z 36 krajowców, 7 koni i dwu mułów, rozłożył się opodal na małym tarasie. Na tych wyniosłościach roślinność spotyka się nader skąpą, a laski tu widziane, więcej przykre niż przyjemne zrobiły na mnie wrażenie. Nie dają one najmniejszego cienia przed palącemi promieniami słońca, ani też zabezpieczają podróżnika przed srogiemi wichrami. Wszędzie martwota, żadnego życia, zamiast świergotu miłego ptasząt, tylko skrzypienie zeschłych gałęzi się rozlega, a zamiast rozłożystych, świeżych, pełnych życia, zielonych konarów, sterczą w dziwacznych kształtach powikłane z sobą, nagie sęki, wydające zamiast płodów, jadowite igły i kolce. Prócz nielicznych stad dzikich baranów (*Ovis Polii*), (*Capra sibirica*), ukazujących się zrzadka na urwiskach skał, żadnych żyjątek tu nie spotykamy. W obozie już dawno zacichło wszystko, a ja długo jeszcze leżąc przed namiotem nie bez pewnej trwogi wpatrywałem się w groźnie sterczące, śniegiem i lodem pokryte szczyty kolosów, które bądź co bądź conajrychlej przejść musimy, by przed zimą dosięgnąć Kala-i-Wandj, na przeciwnym stoku gór położonego, gdzie polecające listy miały mi u jednego z bejów bucharskich zabezpieczyć dłuższy wypoczynek i spodziewałem się znaleźć gościnne przyjęcie. Wicher dął nielitościwie, wirując tumanami suchego śniegu wokoło gór. Termometr opadł poniżej zera do 14 stopni R. Czekała nas długa, pełna wszelkich niebezpieczeństw i nadludzkiego wysiłku droga, jakiej dotąd na całem porzeczu Abi Pandj nie zaznaliśmy. Trwożyło mnie wrogie usposobienie dla cudzoziemców dzikich i wojowniczych plemion, te surowe okolice zamieszkujących o czem ostrzegał mnie komendant rosyjskiego, pamirskiego portu, niepokoił brak żywności, niedostatek jucznych zwierząt, których większą część utraciłem w nurtach zdradliwego Pandj, wraz z częścią niezbędnych naczyń i żywności. Odmawiano mi sprzedaży koni i mułów, za drogie pieniądze nie chciano odstępować mięsa, kukurydzy i innych produktów. Brak herbaty i tytoniu najdotkliwej uczuć nam się dawał. Już od wielu dni herbatę zastępowała gorąca, słodzona woda, a tytoń suche aprykozowe liście. W braku fajek, któreśmy wraz z innemi przedmiotami utracili, robiliśmy z ziemi i kamieni rodzaj kominka, napełniali go suchemi liściami, a wydobywający się przez jego górny otwór, smrodliwy i ostry dym skwapliwie wciągali w płuca przez długie, trzcinowe cybuszki. Na domiar mych trosk i kłopotów, od pewnego czasu część mej eskorty zdradzać poczęła chęć ucieczki i odtąd zmuszony jestem z wiernym mi Hamrakalem, z bronią w ręku strzedz naszego obozu. Przyczyną ucieczki był strach przed nieznanemi okolicami, za któremi, według podania miejscowej ludności, złe duchy zamieszkują.

Dzień jutrzejszy przeznaczyłem na przygotowanie do dalszej podróży. Od samego więc ranka splątano długie liny, przymocowywano do pasów haki, a kto ich nie posiadał, obwiązywał się wprost sznurem, osadzano na długie kije ostre kosztury, łatano odzież, obuwie, rozdzielano resztki pożywienia na pół porcye, troczono do juków bagaże, przygotowano wielkie pęki długiej loziny, która miała nam służyć za mosty przy przejściu szczelin lodowców.

Trzeciego dnia o 5-ej rano zbudził mnie hałas gotującego się do wymarszu, obozu. Przy ognisku przechadzało się kilkanaście czarnych, brudnych, w postrzępione łachmany odzianych postaci, więcej do złych duchów, niż ludzi, podobnych. Nagie ich członki, przeświecające przez dziurawe łachmany, trzęsły się, jak w febrze, od 14 stop. mrozu. I z tą to hołotą miałem przedsięwziąć tak śmiałą i uciążliwą przeprawę. Ale okazali się oni godnymi najlepiej odzianych i sytych podróżników i nie wiem, czy nie lepszymi od nich. „Takfir! — woła mój stary Hamrakel -- herbata gotowa“ i z temi słowy podaje mi kubek gorącej, słodkiej wody. „Może za słaba? doleję mocniejszej!“ żartuje mój poczciwiec. Zawsze ten niezmordowany człowiek zachowywał w najkrytyczniejszych chwilach rozwagę i wesoły humor.

O świcie ruszamy. Naib Jsuf z długim koszturem w ręku przewodniczy karawanie. Idziemy gęsiego po 4—5 powiązani linami; środek zajmują zwierzęta wychudłe, okulałe i zmęczone, Hamrakal zamyka pochód. Zaraz na wstępie moje plany przejścia tych szczytów w kilka dni, rozbiły się o pierwszą granitową skałę. Przejście jednego łańcucha gór, a tem więcej kilku lub kilkunastu, bardzo różni się od przekroczenia olbrzymiego dachu, gdzie prostego kierunku utrzymać niepodobna. Każdy wąwóz, każda rozpadlina, grzbiet góry zmienia nam kierunek, zaczyna się kołowanie, obchodzenie i omijanie w tę i drugą stronę. Po kilkugodzinnem wspinaniu się na wierzchołek pierwszej góry, napotykamy głęboki wąwóz. Jsuf porzuca pierwotny kierunek, skręca ku wschodowi. Po kilku godzinach uciążliwego pochodu, wąwóz tak się zagłębia w dolinę i staje się tak wązkim, iż dalsze posuwanie się prawie niemożebnem się staje. Nagle stajemy przed pionową, na tysiące metrów wznoszącą się ścianą granitową, która dalszy pochód uniemożliwia. Zawracamy i drogę tak mozolnie przebytą, powtórnie rozpoczynamy. Około południa wydobywszy się z tej pułapki, a dosiągnąwszy równiejszej okolicy, dosiadam konia, by cokolwiek wytchnąć. Lecz niedługi był mój wypoczynek, teren się zmienia szybko, góry piętrzą się coraz więcej. Droga kręta i tak stroma, że zwierzęta linami podciągać musimy. Zwierzę się opiera, pada, lina naprężona pęka, biedne stworzenie w szalonym pędzie unosząc nasze dobytki, stacza się w okiem niedojrzaną przepaść, na tysiące metrów pod naszemi nogami rozciągającą się.

Teraz mamy przed sobą kolosa górę 12,000 stóp wysoką, której olbrzymią podstawę w szalonym pędzie omywa wartki strumień, migocący, jak srebrzysta wstęga, i niknący gdzieś w dalekiej, ciemnej prze

paści górskiej. Widziane dotąd największe kolosy gór wszechświata, nie sprawiły na mnie nigdy tego wrażenia i nie przedstawiały tak wspaniałego widoku, jaki przedstawił mi się ze szczytu tego olbrzyma, którego dosięgnęliśmy po strasznym wysiłku. By nie dostać zawrotu głowy, nie utracić równowagi i runąć w bezdenną przepaść, musiałem na chwilę zamknąć oczy, oszołomiony widokiem tylu olbrzymów w tak chaotycznym nieporządku rozrzuconych, tych nagich, ciemnych skał lub śniegiem i lodem pokrytych pól, tych licznych jezior, szczelin, rozpadlin i wąwozów, rzek i rzeczułek, rwących potoków i wodospadów. Powietrze tu tak rozrzedzone, że oddech staje się krótkim, krew krąży szybko, skronie pulsują a w palcach rąk i nóg uczuwam dotkliwy, kłujący ból. Roślinność wszelka tu się już kończy; marne mchy tylko okrywają północne stoki górskie.

(*Dok. nast.*).

Prezydent Loubet jako myśliwy.

(Z powodu ukończenia kadencyi)

„Gil Blas“ zamieszcza artykuł pióra Jana de Gaillon'a, który nam okazuje p. Loubeta, jako myśliwego. Francuscy mężowie stanu są widocznie bardzo często zwolennikami zawodu Dyany. Grevy był namiętnym myśliwym, a o obecnym prezesie ministrów, Rouvier, jedno z pism ilustrowanych podało niedawno szczegóły myśliwskie, przedstawiając go ze strzelbą „w pełnym rynsztunku“ na stanowisku w lesie podczas polowania z naganką.

Jean de Gaillon pisze: „Polowanie zostało otwarte, rozpoczęto też polować w rewirze myśliwskim Rambouillet. Mówiąc „rozpoczęto“, mam na myśli: prezydenta rzeczypospolitej, oficerów sztabu generalnego i inne osobistości, które naprzemian zapraszano podług listy oficyalnej, ułożonej przez pana Loubeta. Gdy jednak odbywają się pomniejsze polowania, bez ceremonialnych zaproszeń, prezydent, niewiele się namyślając, unika wszelkiej kontroli, związanej ze zwykłą etykietą, i zaprasza tylko tych „towarzyszy“, z którymi osobiście mu najprzyjemniej polować. Każdego tygodnia komunikuje się urzędnikowi leśnemu, jaką „seryę gości“ ma zaprosić na następną sobotę. Jeżeli mają przybyć sędziowie i radcy stanu, to stróże polni przygotowują bardzo zwyczajne zające. Członków parlamentu traktuje się już lepiej, zwłaszcza gdy należą do biura izby. Wtedy zjawiają się cietrzewie (?), jarząbki (?) i kuropatwy.

Całą faunę lasów państwowych prezentuje się jednak tylko przy nadzwyczajnych okazyach, czyli gdy prezydent przyjmuje w Rambouillet przyjaciół osobistych z senatu, wielkich książąt rosyjskich, lub jakiego panującego zagranicznego. Ośm dni przedtem zaczyna się importować wielkie mnóstwo bażantów, danieli i saren.

Gdy Feliks Faure kierował losami Francyi, to polowanie, urządzone przez prezydenta, było istną sprawą państwową. Nikt nie śmiałby wtedy przyjść na polowanie w aksamitnym stroju myśliwskim i miękkim kapeluszu filcowym, jak to się teraz prawie ciągle praktykuje za prezydentury Loubeta. Dał on odrazu do zrozumienia, że zamierza znacznie uprościć regulamin polowań. Gdy widziano pierwszy raz, że Loubet kładzie strój myśliwski z grubego sukna oraz obuwie zwyczajne i miękki kapelusz, — wywołało to wielkie wzruszenie u ludzi zaufanych. Zapytywano go, czy goście zaproszeni, mają odtąd również ukazywać się w takim, bezpretensyonalnym stroju myśliwskim.

— Każdy może się stroić, jak mu się podoba — odrzekł p. Loubet. — Las to przecież nie salon!

Od tego dnia przyzwyczajono się uważać polowania za zwykłą rozrywkę.

Prezydent, będący myśliwym pierwszej klasy, usiłuje często gości swych podniecić do polowania przez współzawodnictwo.

— My dwaj razem, panie Fallieres! — zawołał pewnego razu.

Pan Fallieres, prezes senatu, celował i spudłował. Potem wystąpił Loubet i dobrym dubletem ubił dwie kury, a następnie podał rękę prezesowi senatu, mówiąc:

— Niech pan mi nie weźmie za złe.

Gdy jednak poluje w towarzystwie królów lub ambasadorów, pan Loubet poddaje się wymaganiom etykiety. Zwyczaj „dworski“ obowiązuje, aby prezydent w takim wypadku wyliczył swój „rozkład“ po rozkładzie gościa i żeby liczebnie był odpowiednio ustosunkowany. Prezydent np. może sobie pozwolić na ubicie kilku sztuk zwierzyny więcej, niż przedstawiciel ciała dyplomatycznego. Gdy jednak chodzi o jakiego księcia krwi lub głowę państwa drugorzędnego, to pożądany jest jednakowy rozkład po polowaniu. Kiedy wreszcie gość jest monarchą, jak Cesarz rosyjski lub król włoski, to pan Loubet musi się bezwarunkowo podporządkowywać przy rozkładzie. Z tego powodu i jedynie przez to, na polowaniu, urządzonem na cześć króla Wiktora Emanuela, rezultat polowań był taki, że król mógł zabić 111 sztuk zwierzyny, a prezydent Loubet tylko—106.

Jerz.

STOSUNKI ŁOWIECKIE W TYBECIE.

Górzysty kraj Tybetu wciąż jeszcze otacza zasłona tajemniczości. Niektórzy tylko europejczycy weszli do tego kraju, który dla badaczy przyrody i myśliwych jest jeszcze dotychczas rajem zakazanym. Dopiero, gdy wojska angielskie prochem i ołowiem uprzystępnią ten kraj dla cywilizacyi, wtedy i myśliwi będą mogli korzystać z bogatej fauny Tybetu.

Wtedy też w pełnym tajemniczości Tybecie dla sportsmenów także otworzy się wspaniałe pole do działania: ma on niezmiernie bogatą faunę, którą bardzo interesująco opisał zoolog angielski, Pycrat.

Do największych zwierząt ssących w Tybecie należy yak. W łopatce jest od 5 — 6 stóp wysoki, lecz wydaje się o wiele większym, ponieważ jest bardzo obrośnięty włosem na tylnej części ciała i ogonie. Pod tym włosem leży warstwa miękkiej wełny, zwana „pushim“, której powszechnie używają do wyrobu sukna, zwanego „tybetem“.

Ogromny ogon yaka zawieszają w klasztorach tybetańskich na palach, jako banderę. Wszędzie na wschodzie używają tych ogonów do odpędzania much; w Chinach farbują je na czerwono i wieszają na dachach letnich mieszkań. Ponieważ yak żyje w krainie bliskiej wiecznych śniegów, i jest bardzo napastliwy, przeto polowanie na niego jest dosyć niebezpieczne. Pomimo to daje się łatwo oswoić i służy, jako wartościowe zwierzę juczne, gdyż stąpa wyjątkowo pewnym krokiem i dźwiga ogromne ciężary.

Drugie kopytkowe zwierzę na równinie Tybetu jest antilopa „chiru“, która, jak rzadko spotykana „saiga“, ma nos nadzwyczaj nabrzmiały. Twierdzą, że te powiększone jamy nosowe są następstwem przystosowania się do wdychania bardzo rozrzedzonego powietrza. Także mała „Goa“, czyli gazella tybetańska, i dziki baran „argali“ mogą się w tym kraju rozwijać, w którym latem we dnie słońce pali, a w nocy mroźny wiatr wieje i krążą stada dzikich psów. Argali wabi myśliwego tem, że nosi wspaniałe rogi, które mogą dojść do 48 cali, a u nasady mają

20 cali objętości. Stare barany skaczą z wysokości 30 stóp. Na wyróżnienie zasługują także koziorożec i baran „bharal“, który należy raczej do gatunku kóz, aniżeli owiec.

Jeleń tybetański, który jest tej samej wielkości, co Wapiti, bardzo rzadko przychodzi europejczykowi przed strzelbę. Europa nie posiada tego doskonałego egzemplarza; nawet muzeum Brytańskie posiada zaledwie pięć czaszek i rogi, ale nie całego jelenia. Rogi są duże, największa liczba odnóg dochodzi do 13. Przestrzeń między końcami rogów ma przeszło trzy stopy, a szerokość między krzywiznami rogów może dojść do 3—3¾ cali.

Z trzech rodzajów dzikich osłów, które żyją w Azyi, najwięcej przebywa w Tybecie „kiang“, czyli „dschiggetai“. Szczególnie zasługuje na uwagę z wielkich zwierząt Tybetu ogromny „yanda“, czyli niedźwiedź koci. Ma on szczególne ubarwienie. Czarne, jak węgiel, plamy na kremowem tle. Mało co wiadomo o niedźwiedziu kocim; twierdzą, że jego ubarwienie służy mu, jako ochrona, gdyż harmonizuje ze śniegiem i czarnemi skałami, wśród których przebywa. W stadach żyją na dużych drzewach ładnie, pomarańczowo ubarwione, z zadartym nosem, małpy.

Rodzinę kotów reprezentują wspaniałe, śnieżne lamparty, z których dotychczas tylko pojedyńcze okazy dostały się do Europy. W bujnych dolinach nad rzekami Tybetu żyją olśniewające ptaki o najwspanialszem ubarwieniu, a między niemi ozdobny bażant złocisty i barwisty bażant „Lady-Amherst“.

Listy do „Łowca Polskiego“.

Kulikowe-Pole, *w grudniu 1905 r.*

W „Łowcu Polskim“ z 1904 r. była poruszana kwestya zakładania gubernialnych, a nawet powiatowych muzeów ornitologicznych, na sposób, jaki mamy tu, w Rosyi. Być może, mogę Szanownym Panom być w tym względzie użytecznym. Mam kolekcyę kaczek, którą najchętniej ofiaruję któremukolwiek muzeum, a także kilka orłów, łabędzi, jastrzębi i t. p., lecz przesłanie muzeum ponieść musi.

Czerniejewski.

Z radością witamy tę szlachetną ofertę naszego Szanownego Współpracownika, lecz sądzimy, że chwila obecna nie jest odpowiednią do poruszania wspomnianej kwestyi, którą nie omieszkamy wznowić, gdy się kraj uspokoi, oraz gdy uzyskamy obiecany samorząd miejski i ziemski.

Redakcya.

Kronika myśliwska.

(Prosimy Szan. Czyt. naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki).

W d. 13 i 14 z. m. odbyło się polowanie leśne w Tomczycach nad Pilicą u p. Stanisława Bonieckiego. W 8 strzelb zabito: 2 dziki, 242 zające, 2 lisy, 4 kuropatwy i 4 bażanty. Do rogaczów nie strzelano. Królem polowania był hr. Plater, który miał na rozkładzie 50 sztuk, a mianowicie: 1 dzika, 2 lisy, 2 kuropatwy i 45 zajęcy.

W d. 2 i 3 grudnia (st. st.) r. z. odbyło się polowanie z naganką w maj. Narunach (g. kowieńska) p. Zygmunta Węcławowicza. W 10 strzelb ubito: 42 zające, 1 lisa, 2 kuropatwy, 1 bażanta i 2 jastrzębie. Królem polowania był p. Bohdan Komar, który miał na rozkładzie 11 zajęcy i 1 jastrzębia.

W d. 5 i 6 grudnia (st. st.) r. z. odbyło się polowanie z naganką w maj. Poławeń (gub. kowieńska) pp. Komarów. W 9 strzelb ubito 37 zajęcy. Królem polowania była panna Janina Komarówna.

W. d. 12 grudnia (st. st.) r. z. odbyło się polowanie z naganką w maj. Uciana (gub. kowieńska) p. Aleksandra Bolcewicza. W 13 strzelb ubito 33 zające i 3 lisy. Królem polowania był p. Medard Komar, który miał na rozkładzie 7 sztuk.

Na polach, należących do miasta Dobrzynia, nad Wisłą, polowano w d. 18 z. m. w kilkanaście fuzyj i zabito: 74 zające i 5 kuropatw. Najwięcej zabili: pp. Jan Szymański i Napoleon Dmowski a mianowicie po 8 zajęcy.

W d. 22 z. m. odbyło się polowanie Członków Warszawskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa w obrębie Warszewice. Polowano w 19 strzelb i zabito: 85 zajęcy i 24 kuropatwy. Królem był p. Karol Bacciarelli, który zabił 7 zajęcy i 4 kury.

Mały rezultat z tego obfitego w zające, polnego terenu przypisać można strajkowi naganki, która, stawiwszy się w oznaczonem miejscu w komplecie, zażądała 75 kop. na głowę, grożąc, że w przeciwnym razie wcale nie ruszy. Naganiacze otrzymują tam zwykle po 35 kop., co jest wynagrodzeniem zupełnie dostatecznem. Wobec jednak takiej chęci wyzysku, bardzo słusznie myśliwi postanowili obejść się bez naganiaczy i zaczęli zakładać kociołki. Gdy strajkowcy przekonali się, że i bez nich polować można, zgłosili się sami do pędzenia, przyjmując dawne warunki.

W Sójkach, w pow. kutnowskim, u Jana hr. Moszyńskiego odbyło się 25 z. m. doroczne polowanie z naganką. W 8 strzelb ubito: 127 zajęcy i 7 kuropatw, przyczem największą liczbę zwierzyny—32 sztuki—miał p. Michał Wodziński z Żal.

Wszyscy obecni z uznaniem konstatowali, jak wskutek starannej opieki, zwierzostan, mimo plagi sąsiednich raubszyców, z każdym rokiem wzrasta.

Wogóle w r. z. padło tam: 131 zajęcy, 146 kuropatw, 13 derkaczy, 3 bażanty-koguty, (tej wiosny zaprowadzone, doskonale się przyjęły). 4 przepiórki, 2 dzikie gołębie i 1 kwiczoł, a szkodnych 6 psów, 3 koty, 3 lisy, 2 kuny i 1 jastrząb (*Accipiter fringillarius*).

Po dwuletniej przerwie w d. 30 grudnia r. z. odbyło się polowanie w Brwinowie u p. Stanisława Lilpopa. Z powodu dwugodzinnego opóźnienia się rannego pociągu, zdołano zaledwie opolować kocioł polny i pięć leśnych miotów. Pomimo krótkiego czasu, fatalnej pogody i niepełnego składu myśliwych, zabito w 10 strzelb: 220 zajęcy i 10 kuropatw. Królem łowów był p. Kazimierz Korsak z Rudzienka, mając na rozkładzie 31 sztuk. Do rogaczy nie strzelano.

Wykazy Myśliwskie.

Olbrzymie rozkłady daje posiadłość arcyksięcia Fryderyka na Węgrzech. Znane jego dominium Bellye nad Dunajem dało w r. z. 268 jeleni, 507 danieli, 70 sarn i 32 dziki. Inne rewiry dały: Magyar-Ovar 33,396 sztuk, Selowic 24,855, Cieszyn 29,807. Podług zwierzyny dzieli się to wszystko, jak

następuje: 297 jeleni, 587 danieli, 584 kozłów, 996 sarn, 550 koźląt, 37 dzików, 29,979 zajęcy, 7,751 królików, 34 głuszców, 1 cietrzew, 49 jarząbków, 9,152 bażanty, 13,599 kuropatw, 1,324 przepiórek, 534 słonek, 92 bekasy, 9 dropi, 43 dzikich gęsi, 2,047 dzikich kaczek, 120 kurek wodnych, 156 dzikich gołębi. Z drapieżników ubito: 470 lisów, 4 żbiki (dzikie koty), 14 wyder, 24 borsuków, 9 orłów, 1 puhacza, 39 sów, 10 kormoranów i 286 rybitw.

Drobiazgi myśliwskie.

Obrazy myśliwskie. Komitet Tow. zachęty sztuk pięknych w Warszawie zakupił ostatnim razem między innemi: Juliana Falata „Na polowaniu", oraz Józefa Chełmońskiego „Z chartami".

„Kradzież" broni. W sklepach i kantorze „Warszawskiej spółki myśliwskiej", znajdujących się w gmachu, należącym do Towarzystwa sztuk pięknych (Królewska 17), panował jednego z dni ubiegłych zrana nieład... Otwierających magazyny uderzył widok pootwieranych szuflad i powyrzucanych z biurek papierów, w kantorze zaś między biurkami widniał otwór średnicy półłokcia w kwadrat, którym to otworem amatorzy cudzej własności (rewolwerów) z piwnic, służących na skład pak i skrzyń, dostali się do magazynów Spółki. Ponieważ rewolwery dopiero tegoż dnia o g. 12-ej w południe odebrano ze składów artyleryjskich w cytadeli, gdzie w ilości 2,200 sztuk spoczywały od d. 1-go kwietnia r. b., zabrane tamże z rozporządzenia władzy, — skradziono przeto jedynie parę rewolwerów, danych do naprawy. Broni nie ruszano,—do kasy się nie dobierano. Wobec tego wyjaśnienia okazuje się, iż pogłoska, krążąca po Warszawie, jakoby znaczna ilość rewolwerów dostała się w ręce niewłaściwe, jest błędna.

Bobry w dawnej Polsce. Ciekawą relacyę o bobrach w Polsce spotykamy w opisie Polski, przesłanym papieżowi w r. 1565 przez monsingn. Fulwiusza Ruggieriego, nuncyusza papieskiego. „Bóbr — pisze nuncyusz o nieznanem wówczas we Włoszech, stworzeniu - jest to zwierzę czworonożne, żyjące częścią w wodzie, częścią na lądzie. Ma głowę okrągłą, nakształt kociej, tylne nogi podobne do gęsich, ogon szeroki, łuskowaty, jak u ryby, który mają za wyborny pokarm, reszta mięsa niezdatna do jedzenia. Futro bobra ma włosy długie i miękkie, które prawie nigdy nie wyłażą, i dlatego jest bardzo cenione w Polsce, gdzie panowie mają zwyczaj okładać niem suknie, podobnie jak sobolami. Dwa są gatunki bobrów, jedne ciemnego koloru, prawie czarne, i te zowią się szlachtą, drugie jasne, jakby bułane, i te zowią chłopami, bo ile razy który ze szlachty chce sobie dom zbudować, chłopi znoszą mu drzewo i inne, potrzebne materyały. Te zwierzęta mieszkają w różnych częściach Polski, mianowicie na Wołyniu, nad brzegami rzek lub jezior, w domkach o kilku piętrach, gdzie wyłażą wyżej, lub na dół schodzą, podług tego, jak woda wzbiera lub opada; łapią je następującym sposobem: Gdy psy zwietrzą bobra, myśliwi zamykają rzekę sieciami z wierzchu i ze spodu, potem kopią miejsce, przez psy znalezione, aż póki nie dokopią się bobra, a jeżeli ten, poczuwszy niebezpieczeństwo, rzuci się w wodę, wpada w sieć, zastawioną na siebie". Bobry mieszkały dawniej gromadnie w lasach nad rzekami, mianowicie nad Nidą, Notecią, Wieprzem, Narwią, tudzież po wielu miejscach na Litwie. W archiwum Tadeusza Czackiego był regestr bobrów przez Jaśka z Makowa, Konradowi księciu mazowieckiemu roku 1229 podany, z którego się okazuje, że było bobrów czarnych w okolicy Pułtuska 251; 10 z nich na dwór książęcy wybrano, 50 na sprzedaż wzięto, resztę na rozpłodek zostawiono. Z opisu nuncyusza widać, że wiele jeszcze bobrów było w Polsce pod koniec panowania Zygmunta Augusta.

Handel wypchanemi ptakami w Rosyi. Poważnem źródłem dochodów dla mieszkańców wybrzeża morza Kaspijskiego, jest połów różnych ptaków w celu ich wypychania; głównie łowią łabędzie, czaple, mewy i pelikany. Polowanie odbywa się przeważnie na wyspach morza Kaspijskiego, dokąd na wiosnę ciągną ptaki, żywiące się rybami. Łowieniem każdego gatunku ptaków zajmują się osobni myśliwi. Wypchane ptaki wysyła się przez Moskwę, Petersburg i Warszawę za granicę. Roczna zdobycz wynosi przeciętnie 100 do 150 par orłów, pelikanów, sów, rybitw i puhaczy, 500 do 800 par łabędzi, przeszło 10,000 par mew i kawek. W r. 1902 złowiono samych kawek 40,000 par, na które popyt jest tak duży, że niektóre firmy wysyłają umyślnych agentów nad Wołgę, w celu wczesnego zakupu kawek. Jaskółek morskich różnych gatunków ubija się po 50.000 sztuk. Nurków wywozi się przeciętnie 3,000 sztuk, a prócz tego z Persyi sztuk 4,000. Ceny zależą od targów w Moskwie, Petersburgu, Warszawie, Berlinie, Wiedniu, Paryżu i t. d. Ceny przeciętne są: za białoogoniaste orły królewskie i zwyczajne orły—bieliki 4 rb. za parę 1 gatunku i 2 rb. — 2 gatunku, za łabędzie primo 3 rb., sekundo rb. 1 kop. 50, białe czaple po 50 kop., kurki wodne I. 90 kop. za parę, kawki 8 do 10 kop. za parę. Obrót roczny za wypchane ptaki, pióra i puch wynosi w okręgu kaspijskim od 50 do 60,000 rb.

Łosie w Finlandyi. Sprawa łosiów była niedawno na porządku dziennym w Finlandyi, ponieważ przez pół roku rząd zapłacił około 15,000 rb. za szkody, wyrządzone przez te zwierzęta. Gazeta fińska „Uusi Suometar" pisze z tego powodu: Gdy w połowie zeszłego wieku łosie były na wymarciu, zabroniono zupełnie polowania na tę zwierzynę. A lubo ona się potem rozmnożyła znacznie, to jednak w 1898 roku postanowiono jeszcze zakaz nadal utrzymać, pozwalając jedynie w niektórych rewirach, gdzie łosie zbytnio się rozmnożyły, polować na nie przez 8 dni w roku, i to tylko na byki. Postanowienie to okazało się niedostatecznem dla unormowania zwierzostanu, a przeto związek myśliwski opracował następujący projekt prawa: 1) wolno bić także klępy, 2) znieść ograniczenie, że można tylko polować na własnym terenie, 3) za ubite zwierzę nie płaci się nic do kasy rządowej, 4) znosi się odszkodowanie w okręgach, gdzie wolno polować bez ograniczeń, 5) okręgi myśliwskie rozgranicza się na zasadzie prawnej, 6) w lasach rządowych nie wolno polować, 7) wykupujący świadectwa myśliwskie, mają także obowiązek podawania liczby ubitej zwierzyny.

Nowa broń repetyerowa. „Neue Wiener Tageblatt" pisze: Puszkarz o znanem nazwisku, który od wielu lat już zajmuje się konstrukcyą broni repetyerowej i który, jak zapewniają fachowcy, dał pierwszą myśl w kierunku mechanizmu repetyerowego, wprowadzonego obecnie we wszystkich państwach,—wynalazł nową broń repetyerową, która wywoła zapewne żywe zainteresowanie śród techników broni. Mieliśmy sposobność oglądania modelu metalowego, wykończonego już od kamery do ujęcia. Nowe szczegóły konstrukcyi są odrazu widoczne przy działaniu zamknięcia. Wyróżnia się ono od dotychczasowych przedewszystkiem prostszem, mniej złożonem wykonaniem. Jest bowiem w ten sposób skonstruowane, że o ile to możliwe, usunięto szruby i sprężyny; dalej nie potrzeba wykręcać części zamknięcia, a uderzenie przy strzale nie działa po linii łamanej, lecz bezpośrednio po środku osi zamknięcia, przyczem unika się „presyi", utrudniającej otwarcie po danym strzale, oraz specyalnego natężenia nawet przy największem ciśnieniu gazów. Mechanizm repetyerowy jest także uproszczony; szruby odpadają prawie zupełnie. Następnie przypuszcza wynalazca, że przez drobną

zmianę w gwintach lufy, przy zachowaniu obecnej amunicyi osiągnie większą szybkość początkową i penetracyę. Nowy mechanizm repetycrowy ma być odpowiedni zarówno dla broni wojskowej, jak i myśliwskiej. Nazwiska wynalazcy gazeta nie chce jeszcze wymienić.

Import jeleni i danieli do Anglii. Niedawno sprowadzono do Anglii mnóstwo jeleni i danieli z Niemiec i Węgier, celem odświeżenia krwi w wielu rewirach. Zajmował się tem głównie mr. Ross z Liverpoolu. Z lasów w Turyngii wywieziono całe stada tych zwierząt do Szkocyi. Hodowcy angielscy podobno już nieco późno dopiero spostrzegli, że ich zwierzyna ulega degeneracyi i bliską jest wymarcia. Nawet znane, wielkie Deerparki są teraz słabo zasiedlone, a prawdziwie dobre rogi są w ostatnich czasach wielką rzadkością. Po wszechstronnych badaniach, główną winę przypisano niesprzyjającym warunkom klimatycznym. Lecz ważnym powodem jest także brak świeżej krwi, to też panowie z t. zw. City, którzy na jesieni poświęcają kilka tygodni wyłącznie łowom, starają się ulepszyć zwierzostan. Mnóstwo zwierzyny sprowadzono do rewirów lordów Tweedmoutha, Lonsdale'a i księcia Orleańskiego. Sprowadzono przeważnie byki. Dobre wyniki okazały się już po względnie krótkim czasie. W ostatnim roku przywieziono także w tym celu z Węgier 50,000 bażantów.

Wystawa rogów. XI niemiecka wystawa rogów w Berlinie w 1905 r., miała najwięcej okazów w porównaniu z poprzedniemi wystawami. Wystawców było 903, okazów 1,754. Nagród przyznano 462, z czego na rogi jelenie przypada 111, danielowe 11, sarnie 222, łosie 1, parostki gemzowe 10, różne 7.

Wypadki po... polowaniu. Niedawno rozbiegła się w Paryżu pogłoska, że na życie prezydenta Loubeta, powracającego z polowania w Marly, uczyniono zamach. Okazało się, że pogłoska była mylna. Prawdopodobnie wypłynęła ona stąd, że w wagonie II-ej klasy znaleziono puszkę ze spalonym lontem.

Podczas polowania na kozice w górach Strechen w Styryi górnej, leśniczego Ankele i rządcę dóbr Büschera zasypała lawina śnieżna. Ankele, odrzucony na bok przez bryły śnieżne, zdołał się uratować, Büscher natomiast zginął pod warstwą śniegu kilkunastu metrów wysokości.

Trofeum Wilhelma II. Sztuką 50,000-ną, ubitą przez cesarza niemieckiego, był biały kogut bażanta, który padł pod Strzelcem na Szląsku. Cesarz zabrał wówczas zwierzę do Berlina i kazał je preparować oraz wypchać. Teraz ofiarował on to trofeum hrabiemu Czyrskiemu-Renardowi.

Niemiecki następca tronu zaczął polować w 17-ym roku życia. Zaraz na pierwszem polowaniu ubił 17 dzików.

90-letni myśliwy. W Gladbachu, w Niemczech, skończył niedawno 89 rok życia Jan Krapohl, który dotychczas poluje namiętnie i z wybornym skutkiem. Polować zaczął już w 12-ym roku życia. W ostatnim sezonie ubił 20 zajęcy, 10 bażantów, 25 kur, 30 królików. Ma zamiar widocznie długo jeszcze polować, gdyż świeżo odnowił kontrakt dzierżawy polowania na trzy lata.

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów" J. O. *(C. d.).*

Kawka.

1. Na świętego Grzegorza szuka kawka łoża.
2. Z kruka łabędź, drozd z kawki nie wychodzi.
3. Pełno, jak kawek na słotę w październiku.
4. Jak kawek na Podlasiu (mnóstwo).
5. Snadniej o kawkę białą, niźli o sługę poczciwego.

Kiernoz.

1. Krząka, jak kiernoz.
2. Opływa w rozkoszach, jak kiernoz w pomyjach.
3. Sapie, jak w barłogu, kiernoz.

Klatka.

1. Kto klatkę kupuje, ptaszka potrzebuje.
2. Pierwej potrzeba się postarać o klatkę, dopiero łowić ptaszynę.
3. Piękna klatka nie żywi ptaka.
4. Wielka klatka, a ptaków mało.

Kobuz.

1. Zdechłemu orłu i kobuz zaszkodzi.

Kogut.

1. Ach Boże, poznaj sam, czyj kogut, czyj baran.
2. Dwa koguty na jednych nie zgodzą się śmieciach.
3. Każdy kogut na swych śmieciach śmielszy.
4. Kogut nie ma zegara, a wie kiedy zapiać.
5. Kogut pieje (lub śpiewa) na ziemi, to się czas przemieni; kiedy pieje na grzędzie, to czas dobry będzie.
6. Kogut — zegar wiejski.
7. Nalazł kogut perłę.
8. Nie zawsze kogutów pianie odpowiada powietrza zmianie.
9. Posłuszny kogutowi (rano wstaje).
10. Po tym i kogut nie zapieje. *(C. d. n.).*

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu A. Cz. Żywych jarząbków nigdzie Sz. Pan nie dostanie. Trzebaby je kazać specyalnie łapać. A i aklimatyzowanie tego ptaka jest niezmiernie trudne i nie znamy takiego wypadku, żeby ktokolwiek czynił jakieś próby w tym kierunku. O hodowli jarząbków znajdzie Sz. Pan szczegóły w tegorocznym „Kalendarzu myśliwskim".

Treść Nr. 1 „Łowca Polskiego".

Prenumerata „Łowca Polskiego" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy:
Smolna 34, w Warszawie.

Redaktor i wydawca Jan Sztolcman. Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.

Nr. 2. Warszawa, d. 16 Stycznia 1906 r. R. VIII

Łowiec Polski

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego:" Warecka 15 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34).

Ogłoszenia Warszawskiej Spółki Myśliwskiej na II-ej stronie.

KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

W styczniu wolno polować na: dziki, łosie (byki), jelenie (byki), sarny (rogacze), zające, głuszce, cietrzewie, kuropatwy, dropie, kwiczoły, kaczki i wszelkie ptactwo przelotne.

Łunacya w styczniu.

Ostat. kw. d. 17, o g. 10 m. 13 wiecz.
Nów d. 24, o g. 6 m. 33 w.

Wschód i Zachód Słońca

w styczniu

Dnia	Wschód		Zachód	
	g.	m.	g.	m.
16	8	6	4	14
17	8	5	4	16
18	8	4	4	18
19	8	3	4	19
20	8	2	4	21
21	8	0	4	23
22	7	59	4	25
23	7	58	4	26
24	7	57	4	28
25	7	55	4	30
26	7	54	4	32
27	7	53	4	34
28	7	51	4	36
29	7	50	4	37
30	7	48	4	39
31	7	47	4	41

Z handlu zwierzyną.

W ostatnich dniach w Warszawie w składzie Adama Wiluckiego, dawniej Chruścińskiego, w Gościnnym Dworze 139, płacono ceny następujące:

	Kupowano		Sprzedawano		
Sarninę	—.15	k.	—.20	k.	funt
Zające	—.75	„	1.20	„	sztuka
Kuropatwy . . .	—.75	„	—.90	„	para
Kacz. dzikie krzyż.	1.50	„	1.80	„	„
„ „ cyranki	—.70	„	1.—	„	„
Bażanty koguty .	2.50	„	3.—	„	„
„ kury . .	—.—	„	—.—	„	„
Bekasy	—.—	„	—.—	„	„
Dubelty	—.—	„	—.—	„	„
Słonki	—.—	„	—.—	„	para
Drozdy	—.—	„	—.—	„	kopa
Kwiczoły. . . .	12.—	„	15.—	„	„
Jarząbki	1.40	„	1.50	„	„
Cietrzewie . . .	1.50	„	1.80	„	para



Warszawska Spółka Myśliwska

dawniej B. Ronczewski

WARSZAWA, Królewska 17, Telefon № 1917.

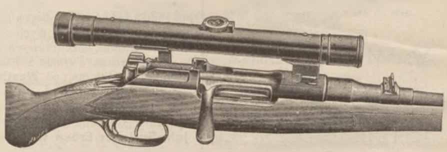
poleca świeżo otrzymane **nowości:**

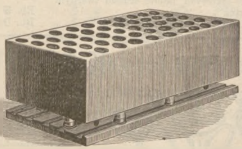
Lebeau-Courally dubeltówki bezkurkowe z eżektorami, **modele wystawowe**, z osobistego zakupu na tegorocznej wystawie powszechnej w Liege. Nadto polecamy wszystkie typy broni Lebeau, ilustrowane w jego katalogu.

Mannlicher-Schönauer magazynki austryackie **większego kalibru 9 m/m**, niezależnie od tychże magazynek kalibru $6^1/_2$ m/m. Obydwa kalibry tych magazynek są na składzie z lunetami i bez.

Cena magazynki kal. $6^1/_2$ m/m Rb. 110
„ 9 „ „ 120.

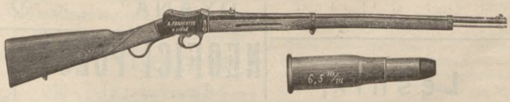
Za najnowszą, doskonałą lunetę do Mannlichera, z umontowaniem i dokładnem przystrzeleniem na 100, 200 i 300 metrów Rb. 75.





Przyrząd amerykański do wygodnego i szybkiego nabicia 50 ładunków śrótowych tak czarnym jak i bezdymnym prochem, dla kal. 12, 16 i 20 Cena za sztukę Rb. 4.

Wypróbowany przyrząd ten możemy każdemu myśliwemu polecić.



Karabinek Francotte'a systemu **Martini-Francotte** z wyjmowanym zamkiem, do ładunków **bezdymnych $6^1/_2$ m/m** z kulą całkowicie lub do połowy pokrytą niklem, ze stemplem do czyszczenia, umieszczonym pod lufą. Dokładny i ostry strzał tego karabinka, gwarantowany do 200 kroków, czyni go najodpowiedniejszym do polowań na większe ptactwo i drobnego zwierza. Waga około 5 funtów. Ładunek na rysunku naturalnej wielkości . . . . **Rb. 35.**

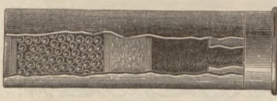
Takież karabinki Francotte'a $6^1/_2$ m/m w lepszem, wykwintnem wykończeniu . . . . . **Rb. 45 i Rb. 60.**
100 szt. ładunków bezdymnych kal: $6^1/_2$ m/m o kuli w płaszczu niklowym pełnym, lub do $^3/_4$, lub też ekspansywnej . . . . **Rb 9.**

Gotowe ładunki

dymne i bezdymne

nabite hartśrótem

w kalibrach 12, 16 i 20



posiada na składzie i poleca

Warszawska Spółka Myśliwska

dawniej

B. Ronczewski

Warszawa, Królewska 17. Telefonu № 1917.